

## **Оссолінські колекції.**

**CD – диск виконано в рамках угоди укладеної з квітня 2004 р. між Львівською науковою бібліотекою НАН України у Львові і Національним Закладом ім. Оссолінських у Вроцлаві.**

Lwowska Naukowa Biblioteka im. W. Stefanyka NAN Ukrainy. Oddział Rękopisów.

Zespół (fond) 4.

Zbiór rękopisów Biblioteki Baworowskich

Dział (opys) 1

1184. *Życie nie jest warte trzech groszy* [hasło konkursowe] *Po drodze*. Dramat w 3 aktach [przesłany na konkurs dramatyczny Wydziału Krajowego we Lwowie].

*STRONY NIEZAPISANE NIE ZOSTAŁY ZDIGITALIZOWANE*

Львівська бібліотека АН УРСР  
ВІДДІЛ РУКОПИСІВ  
№ *Бав. 1184*

Львівська бібліотека  
АН УРСР

ВІДДІЛ РУКОПИСІВ

Бав. 1184

por. 54.  
Kowal. Dr. polski  
do dr. 339 r. p. l.

86795

I

86795

Dr. 131427/ob

Życie nie jest warte trzech groszy.

131427/ob

Po Indre.

Dramat w trzech aktach.



brak adresu

V 954  
1.184

So Drodze

Gramat w such aktach.

Osoby

Koskewski : Dyrektor generalny na Rosje Towarzystwa, Corday, Brown i sp.  
v. Sanden - Dyrektor fabryki, Gwardiewo "tego" towarzystwa

- Ponomarow
- Krawcow
- Lopuchin
- Lwanow
- Fieling
- Kropiwnicki
- Landau
- Wentworth
- Hase, monter

Zwremierowie i urzednicy fabryki "Gwardewo."

- 1. Kurnajomy
- 2. Kurnajomy
- 1. Robotnik
- 2. Robotnik
- 3. Robotnik
- 4. Robotnik
- Postugacz szpitalny

Postygiach binowoy  
 Korak  
 Oficer Koracki

Anna Kostkewska  
 Pani Kostkewska  
 Bogdanowa, felczerka  
 Pani v. Landen.

Kozacy.

Przez dzieje się na poludniu Rosji w osadzie fabrycznej "Surozdewo"  
 we Włodzim 1905 r.

## Akt I

(Ambulatorjum w szpitalu fabrycznym w Gwardewie. Bogdanowa zamyka drzwi, prowadząc na prawo, zamyka je na klucz ~~po~~ po przechodzi do drzwi w głębi i otwiera je)

Bogdanowa: Tak, proszę już, wchodzić.

(Wchodzi dwóch Nieznajomych i czterech Robotników, wnoszących wózek z robotniczej)

1. Robotnik: A nie wróci?

Bogdanowa: Nie tak przętko, pojedź na wieś do chorego. Nie ma wójcej nikogo w przedpokoju?

2. Robotnik: Nie, był urządnik po lekarstwo do żony, ale' odeśt z aptekarzem.

Bogdanowa: To dobrze, możemy mówić spokojnie.

1. Robotnik: A jak kto przyjdzie niespodzianie?

Bogdanowa (wskazując na 2<sup>go</sup> Nieznajomego): On dostał ataku, wyszł go przyniesli. Ale wiele czasu niema.

1. Nieznajomy: Powiedział mi w fabryce, że macie zamiar pracować, że przyjdziecie dziś do Aneciej zmiany.

1. Robotnik: No to co? Nie przysięgaliśmy, że nie przyjdziemy.

1. Nieznajomy: Ale przyśiękliście (z naciskiem) niewolno Tamai strójku. Fabryka stanie dziś przy Aneciej zmianie.

1. Robotnik: Aha! wam łatwo mówić, dziś był, jakto go niema, a my? Powiedział Kostnewski, że fabrykę zamknę i paszporty odda, i koniec.

1. Nieznajomy: To was później przyjmie znova.

1. Robotnik: Aha! ziemski nas napewno na miejsce zamieszkania wyśle, on

Na nich, jak ojciec widony. Dobrze posmarować muszą.

3. Robotnik: Napewno wysła. Z Kurstkiej guberni jestem, zdaleka.

Z głodu na wsi zdykać przyjdzie, jak wysła. Jeszcze może drugi raz mi paszportu nie da. „Nie buntuj”, powiedzą.

1. Nierządny: Nie remkuj, fabryki, nie będą śmieci.

1. Robotnik: A to to prawda. Kostrewskiego nie znasz. Jak powie-  
dzą, to skoniczone. Z Landenem dawał Tatwier. Wykryczy, wykryczy,  
matkę widony z tem słowem wspomni, może i w mordę da, ale się  
później jakoś ulituje. Ale Kostrewski, z nim jak nie, to nie.

2. Robotnik: Skąd wiesz? Z Landenem tylko raz mówiliś, kiedy ci go by  
sprat za to, że otęci kradł, a Kostrewskiego ktoś nawet na oczy nie wi-  
dzał.

1. Robotnik: Ale Fielting jeszcze resztę roku mówi.

4. Robotnik: U Jura tyś po drugim strajku, fabrykę remkniło. Wyjściem  
w garście.

1. Nierządny (z pogardą) U Jura ... Jak się to tam wzięli do tego. I  
za pierwszym razem niewiele zyskali ... A wy symrasem.

2. Robotnik: Co prawda, to prawda, bardzo nam lon podnieśli. I pro-  
tego ... Tam dwa ruble na mieszkaniu dostają, choć dopiero rok pra-  
cują.

1. Nierządny: A wzięcie, źleście na naszych radach wyszli

1. Robotnik: Ale teraz możemy na nich ile wyjść.

2. Robotnik: Kto nie ryzykuje, ten nie ma. I za pierwszym razem  
przeciw strajkowi gadają.

1. Robotnik: Ja, nich mi przyjdzie zotem stanie, jeśli to prawda.

1. Nierządny: Cicho, do stu tysięcy djabłów! wlasnego słowa otworzył mi się  
szy. W warsztatach robotnicy wyjdą dziś o piątej, a w fabrykach przy-  
Anecij zmianie.

4. Robotnik: Oni niewiele mruwieją, nie czytają gazet, oni tylko aby 20 kopiejek więcej na dzień zarobić, ale ja wiem wszystko.

1. Nierozumny Przyjście dziś do mnie koto 6<sup>ty</sup>, pogadamy.

4. Robotnik: Dobrze.

1. Robotnik: My z fabrykacji i fak mamy 8 godzin pracy dzień, co nas to obchodzi, jak długo siedzę w warsztatach i przy robotach ziemnych.

1. Nierozumny (zinnno): A bardzo ci będzie przyjemnie, jak cię za robotę w fabryce pobiją. Ten jest więcej, jak was z fabrykacji.

1. Robotnik: Pobiją to pobiją (ptawluwie) dwa łeba na mieszkanie z ogniem i akatem — Teraz mam. Jak mię wygnają, to choćby narząd przyjeźli, mieszkania nie oddadzą. Dwa pokoje i kuchnia i ogień wrak duży. Cebule w nim sadzimy i kartofle, kwiaty nawet...

4. Robotnik: Dłuzszym, jaki mądry. Cebula i kartofle najważniejsze. Bardzo, bardzo ciemny świat, bez żadnej oświaty. Nawet chłopci niechętny więcej wiedzą.

1. Nierozumny: Co tu długo gadać, postanowiliśmy strajk i kurta.

Zawraci tylko na tem zyskać więcej. Dne was fabryka, że przeszedł, a wy, jak głupie barany, obdieracie się dzieć. Po sprawiedliwości całą fabryka powinna być wasza, bo praca wasza stoi. Ale kto się o sprawiedliwości pyta. Albo i to... Co Landon robi? Chodzi z kijem i patką, jak inni pracują, i za to więcej bierze pensji co miesiąc, niż trzydziestu robotników przez rok zarobi.

2. Robotnik: Zawraci dyrektor, musi więcej dostać.

1. Nierozumny: No to co? Strach, mieć więcej dostać, ale nie tyle. Może wam dotrzyje, nie umrę z głodu przez to, a wam się przyda.

3. Robotnik: Oj, co prawda, to prawda! Bardzo nam ciężko. Trzydzieści lat w domu nie byłem i muszę po co wracać. Dwie trzecie tygodni

mam. Co to znaczy! Gdyby mi dotarli, Coraby przyjechać mogła, albo by  
ziemi odkupił.

1. Kiernajony (u n e c e s p h w i e): Skońca wreszcie. (do występu) No, odpowia-  
dacie za całą kłecig zmianę.

2. Robotnik: Tak, chyba. Nie mógłbyś pomówić z innymi?

1. Kiernajony: Trudno bardzo. Trzeba ich pojedynczo powytawiać, bo wresz-  
cie się Coracy wtóra i napędzają zaraz. Jak spotkacie którego, to powied-  
cie mu, żeby głupstwo nie robił. No, więc nie przyjdziecie do kłecig  
zmiany?

Kasyca: Nie przyjdziemy.

1. Robotnik: A jak ja jednak mieszkanie stracę?

2. Robotnik: Ten mów ze swoim mieszkaniem. (W p y c h a j a g o z a d w i i  
w y h o d e.)

2. Kiernajony. Ukazywatem zawsze, że mieszkanie, złożone z czterech pokoi  
i wateklosetu (do Bogdanowej) Pardon, wotociggu, ogromnie dużo para-  
lizujące na energję w sprawach spotecznych. Przekonywam się teraz, że dwa  
pokoje bez urządzeń higienicznych mają ten sam skutek.

1. Kiernajony. Teraz to umiesz robić ironiczne uwagi, a przedtem ust nie  
otworyłeś!

2. Kiernajony. Nie potrafisz mówić z tymi ludźmi. Co chcesz, jestem tylko  
terminatorem, a ty majstrem.

1. Kiernajony: Do niczego jesteś, mógłbyś z takim samym skutkiem  
mieć malowanego towarzysza.

2. Kiernajony: Nie jestem tu na swoim miejscu.

1. Kiernajony: A gdzie ty jesteś na swoim miejscu: w salo-  
nie przy bawieniu panienek, na zebraniu koleżeńskim, kiedy  
mówisz robić cyniczne uwagi.

2. Kiernajony. Mylisz się, byłbym na swoim miejscu przy biurku

Ordreem tak, jak dawniej zasiadałbym <sup>do pracy</sup> wokoło cisa ... W pokoju pełno szaf z książkami.

- 1. Mernagomy: Pisałbyś pewno o rewolucji rosyjskiej.
- 2. Mernagomy: A żebyś wiedział, że tak, pisałbym o rewolucji rosyjskiej i stworzyłbym wielkopomne dzieło, wielkopomne, słyszysz. Trudno mi się chce, kiedy ~~ja~~ wielką rację pomysłową, że ja, który jestem może największym historykiem współczesnym, mam pomagać ci tłumaczyć głupich chłopów rosyjskich. Mogłbym być stawony między stawonymi, wielki między wielkimi, a zdecyduję jak pies od ostryka lub kuli i ukopię cię w rowie przydrożnym głębiej niż pies. I dzieła mojego nigdy nie napiszesz.

Bogdanowa: Najwspanialsze dzieło nie waży jednego dnia, spędzonego na owocnej pracy dla narodu.

2. Mernagomy: Stupia jesteś z swojemi procesami, głupia, głupia. Dokąd idziemy z waszą owocną pracą nad narodem? Do anarchji!

1. Mernagomy: Straszny nas, anarchja ... Niech burczy sobie przy takim brzydkiem słowie uszy zatylają ... ale my. Będzie anarchja, bardzo dobre, później my już zrobimy porządek.

2. Mernagomy: Słuchaj, jak dziecko. Czy wiesz, co to anarchja w Rosji. 50 milionów ludzi wygnane, drugie 50 milionów padnie ofiarą epidemji, a reszta będzie się wtopiła między zgliszczami i ruinami, wycząc jak stado wilków z głodu i zimna. Obuduj państwo, kiedy się będzie jednego domu na całym obrzeżu Rosji, obuduj państwo, kiedy nie będzie ani jednego nieobytanego w naszej ojczyźnie.

Bogdanowa O mój Boże!

1. Mernagomy: Coż za przesada dziecienna! A zresztą do krowej rewolucji nie ~~przejdzie~~ <sup>do</sup> przejdzie. Będziemy mieli konstytucję dziś, jutro.

2. Mernagomy: Oczywiście zgadzam się z Tobą. Witte jest teraz pierwszym

osobę, a on woli być premierem konstytucyjnym niż prezesem ministrów, więcej władzy i znaczenia. To wielki Tots! Co za zachwycający brak wszelkich przekonań politycznych. On rajdnie wysocho, choćby na szczyt szubienicy.

1. Nierozumny: No więc, jak będzie konstytucja, to się wszystko uspokoi.

2. Nierozumny: Bógostawieni ubodzy Duchem, albowiem ich jest kłóbstwo Kiebskie i wiek studzeń na ziemi. My dawniej zgodziliśmy się na wywściec tylko republiki demokratycznej, obecnie zgodziliśmy się przyjąć wniosek socjal-rewolucionistów o upaństwowienie socjalizacji ziemi. To tak łatwo pójść, nieprawda? I Kanaker konstytucja uspokoić i głodnych chłopów. (śmiej się ironicznie)

1. Nierozumny: Czego chcesz, jak kłó? Jeśli sobie zapamiętasz, kiedyś cię było, pisz drisko swoje, bez ciebie się obejdziemy. Dwieście zamiast ciebie jednego znajdziemy, co mówisz, trzydzieści, pięćdziesiąt, stu... ludzi z energią i wolą, a nie takich marzaj jak ty.

2. Nierozumny: Marzaj! Noż. Dwie mam tego życia kluczonego rwienia, dosyć tych bersemych, rozpaczliwych noży... Spokoju, spokoju... kiedy przystaniesz do was, myślatem, że inaczej będzie... Ale teraz... wyzywam się że smu i wdaje mi się, że widzę, jak powstaje wielka fala krwi, która zabawa nas wszystkich.

1. Nierozumny: No, nie martw się, jeniec dobrze będzie. I socjalizacja ziemi da się przeprowadzić. Inteligenja potępi się z narodem i wejdzie w moc zamiast prawa pisanego, prawo ludowe. Cytatem moje drisko w tej kwestji.

2. Nierozumny: Cytatem i uważam, że cię zawieszono postać na katorze. Coż mamy zbieranie materiału i agitacja, wobec wielkich, nieśmiertelnych głupstw, rawarich w tym utworze.

7  
1. Mernagony: Naturalnie, tylko ty jeden jesteś mądry, tylko ty jeden, co wiesz.

2. Mernagony: Dobrynerem jesteś, ciasnym dobrynerem, nie nie widział jasno, schemat, schemat, a ja.

Bogdanowa: Nie kłóćcie się, lepiej pomówimy o sprawach ważniejszych. Wogóle w jakim celu strajk tutaj?

1. Mernagony: Jak wszędzie... Walka ekonomiczna z kapitałem.

Bogdanowa: A polityczna z rządem?

2. Mernagony: Jenera nie, i na to czas przyjdzie

Bogdanowa: Powiniście w każdym razie uswiadomić tubajskich robotników, że to nie tylko o podwyższenie ich płac idzie.

2. Mern: Paradna jest. A to po co? Wiek oni z tego rozumieją tutaj.

Byłoby kompletnie. Robotnicy w sirdkowych guberniach lub w Petersburgu, to rozumieją. Ale tu: car, pop i urządnik; Trójca święta.

Bogdanowa: Ale to będzie niemaszowie.

2. Mern: Bo też w polityce ten tylko jest maszowy, kto nic nie robi.

1. Mern: Znowu cyniczna uwaga. Poradziłbyś lepiej, co zrobić na wypadku zamknięcia fabryki. Musimy być pewni swoich ludzi, a to nie podmieście naszego kredytu.

Bogdanowa: Wiem napewno, że w razie strajku Kostnewski zamknie fabrykę. Mówiła mi o tem jego córka.

2. Mern: Znać wcale postąpić nie może. Musi bronić interesów swego towarzystwa.

1. Mern: Ciasny kapitalista! by Landen byłby skłonniejszy do ustępstwa, szczególnie gdyby go nastawiano.

Bogdanowa: Nie wiem, nie znam go, ale bardzo być może.

1. Mern: W takim razie... Bogdanowa, moja miła, idź wbarsz na korytano, czy tam nie ma (Bogdanowa wychodzi)

1. Miern: Kostrewski napewno zamknie fabrykę.

2. Miern: Skąd wiesz?

1. Miern: Mówiłem z nim.

2. Miern: Ty!

1. Miern: Jako delegat robotników, toruniec. Djabła ije, kto potna, że jestem clem imem.

2. Miern: No i, i... jestem jak na szpilkach.

1. Miern: Wyłem wszystkie argumentów możliwych, wspomniatem nawet coś o strajku politycznym.

2. Miern: (z pogardą) I utrzymujesz, że się nie poznat na tobie. Kawiory.

1. Miern: Cicho, mówięm głupio... Pytat się, kto mi w głowie przewrócił. Plecie się w takim wypadku tak po tak, rzucniem. Sander stat przy tem... On wydał mi się o wiele oktoniejszy do ustępatu. Widziatem, jak rładł, kiedy grwiem Kostrewskiemu.

2. Miern: Gwites! I to na jakiej zasadzie.

1. Miern: Mam wyrok w kieszeni

2. Miern: Co! w jaki sposób! Pucier mi takiego nie zasło.

1. Miern: Napisatem, że wydat delegatów.

2. Miern: To nieprawda! Dlaczego to zrobiłeś?

1. Miern: Bo mię nudzą, że wszystkie ceregiele. Wydat, czy nie wydat delegatów, co mię to obchodzi... Wiem, że mi przeszkadza, wiem, że zamknie fabrykę w razie strajku, a ja nie chcę, żeby fabrykę zamknęto. Kij djabet, nie robi się rewolucji w glansowanych reklamierkach. Loba wysz, jak waisey dyrektorzy na potudniu zmięknę, dadzą więcej niż sądzany, ogonami mędnai będą z wielkiego strachu. Jenne gdybys'my mieli z ranymi właścicielami do wymienia... Ale tu w kraju to wanystw akcyjnych, gdzie sądzę dyrektorzy. Oho! nikt się nie da zabić, ha cudrych dywidend.

2. Kern: Twoje rozumowanie nie jest faktywne, ale...

1. Kern: Twoje ~~to~~ i sprawiedliwość Ci idzie. Pani, głupio! Trzeba sprowadzić koralów, to mnie wystarczy... Koral przedstawia zawsze nieograniczoną możliwość trupów i ran, a więc? Nie zastuga Kostkewskiego, że dotychczas było spokojnie, a nawet jak jego zastuga mógł sprowadzić inne wojsko... Powiesz, że mu najchętniej było o koralów. Dobrze, ale co to mię obchodzi. Mam wyrok w kieszeni i kwita, i zabijemy go, nim zdąży zamknąć fabrykę, to znaczy jeszcze przed wypowiedzeniem strajku.

2. Kern: Może się namyśli.

1. Kern: A ba! nie ustąpi... Wszyscy to mówią, zresztą i ja sam znam się na ludziach.... Nie widzę racji ulekać, zawsze to Taturiej zarwie zamknąć fabryki, niż ja później otwieram.

2. Kern: Dobrze, wyrok, a wykonawca?

1. Kern: Znajdziemy na ochotnika między robotnikami, albo kasujemy losy ciągnąc.

2. Kern: Nie!

1. Kern: Nie? Oczywiście jeśli nie chcesz sam podjąć....

2. Kern: Ja, ja nigdy w życiu nie zabitem człowieka.

1. Kern: Ale z rewolwem strzelać umiesz i Browninga masz, a więc?

2. Kern: Nie, nie, nie.... Dlaczego ja, dlaczego ja?

1. Kern: Naturalnie, niewiele to ma sensu... Sprawa robotników, a nie nasza. Ochotników znajdziemy z Taturiej.

2. Kern: To nasza sprawa, nasza, nasza.... Karaszamy ich na gwałt, koralów, etap, i jeszcze koral...to.

1. Kernaj: Dla ich dobra.

2. Kernaj (uśmiech): Nie wiem.

1. Kernaj: Ale ja wiem... Ty może masz nieczyste sumienie, bo...

lini przedewszystkiem o wolnościach politycznych, leu ja, który chęć obalić  
mogę tylko na to, by miś swobodnie walczył z kapitałem w imieniu  
klasy robotniczej... Mam prawo żądać ofiar i od nich, kembandiej  
że ja sam.....

2. Kern: Powiniennem, powiniennem zabić Kostnewskiego, ale nie mogę,  
nie mogę, nie mogę....

1. Kern: Co z Twój ojciec, krewny gadaj?

2. Kern: Nie znam go wrak.

1. Kern: A więc

2. Kern: (gorztkowo): Rozum, żywy, prawdziwy cioterek, i ja podejść do  
niego i zabić go. Przed chwilą żył, chodził, ruszał się, a później nic, trup  
nieruchomy przede mną.

1. Kern: O... brak przywyżajenia... Nożem albo szabłą nigdy nie  
miałem być nieprzyjemnie, tak bezpośrednio, ale z rewolwerem.... Przystęgam  
ci, że to żadnego wrażenia nie robi.

2. Kern: Raz w życiu tylko byłem na polowaniu i nie mogłem zabić ce-  
gła, a ty chcesz, żebyś ciotereka zabił.

1. Kern: Dlaczego wstępiesz do bojowej organizacji, ~~jeśli~~ jeśli jesteś  
taki delikatny.

2. Kern: Bo ja ich tak nienawidzę, że mógłbym ich zabić, nawet ja...  
Bo byłem w Stryumie w pochodzie, i widziałem, i wiem, że nie  
ma sztywniejszego zadania, jak być namiętnym kury na tych Tostwo...  
Bo ich nienawidzę za wyciek krew, przelany przez nich... (uspokajając  
się.) Nie czuję żadnej nienawiści do pana Kostnewskiego.

1. Kern: Nie wstępuję do partji, żeby zatroszczyć swoje osobiste para-  
chunki... Naturalnie że przyjemniej rucić bombę w Bergjasa lub Trepotar-  
ni zabić jakiegoś tam pana Kostnewskiego. Ale i to musi być zrobione  
Nie rozumieję wrentę słowich skrupatów: jeden burzą mniej, jeden  
więcej, ważna rzecz.

2. Mern: Nie mogę, nie mogę.

1. Mern: Nikt cię przymusić nie będzie, uspokój się... Trzeba zebrać kilka co pewniejszych robotników.

2. Mern: Gdyby ty, albo żeby telegrafować po kogo....

1. Mern: Zważajcie! Sprowadźcie jeszcze Kucenego, dla dwóch robotników niema (Zastanawia się) Nie, mój drogi, ułóż to sobie z głową.

2. Mern: Nie potrzeba Kucenego, tyłus' mógł....

1. Mern: Ładnie? a kto tu utryma porządek, jak mnie nie będzie, ty przecież jesteś do niego. Po śmierci Kozłewskiego zrobi się zamieszanie. (po chwili) Masz strajk mogą diabli wzięci! Oby zwrócić uwagę nawet tych Durmów kufajnych. I dwa dni, niewiadomo co za dwa dni będzie.... Po co ty wstępować do partji, po co, po co? żeby nam krótki nad głową o końcu świata, żeby omawiać skomplikowane kwestje wyników zunienu? Niech cię diabli werną.... Każdy inny na twojem miejscu! Ani do czynu, ani do partyjnej roboty! Dawi się panie w socjalistę,.... Pyszigam, że lepiej było zrobić, bawisz się z kokotami, mniej byłbyś skądś, już zgóry niktby cię za utowika nie uważał.... Tu (przed siebie) Nie mogę, nie mogę. Tę miesiąc nad tym strajkiem pracowałem, i wszystko diabli werną przez tego nie dotęzę. Ale to ci przynękam. Kiedy wrócimy, to ja w tem, że cię z partji wypusz, choćbyś nas miał wystąpić rademungować (chodź urbanony po pokoyu)

2. Mern (ze Tramii w oczach): Masz rajz, masz rajz, ale ja jednak nie mogę.

1. Mern. Co to za głupi sentymentalizm z twojej strony.... Nie uratuję przecież tego utowika, a partji robie trudności. Stuchaj teraz, nie mam więcej czasu do stracenia: albo idź szukać ochotnika między robotnikami, albo ty.

chwila milosernia.

1. Merny: A wiec ja. zadowolony jestes'?

1. Mern: Pamietaj, zelys' sie w ostatniej chwili nie cofnag, bo ze mnag bediesz miat do ozynienia.

2. Mern: Nie... Teraz juz postanowitem... Trudno. Pójdz do niego, jako Delegat robotnikow

1. Mern: No tak, lepiej byto na dworze, Takwicz uciec, mstawitbym pewnych ludzi.

2. Mern: Musze do niego podejsci blisko, inaczej nie trafie: mnie sie juz teraz rzece przesze.

1. Mern: Tak, a on chodri zawsze z Korakami. Sanden taka sam, ak nie mozemy przecie zabic' Sandena, dlatego ze Takwiejszy przystep do niego. Pójdzies, jako delegat, ak czy us przyjmie? Hm, poradzimy sie Bogdanowej

2. Mern: Jakto!

1. Mern: Powiemy jej, ze chesz omowic kwestie ustępatw, coś takiego. (wola glosno) Bogdanowa!

(Dzwi otwieraja sie, wchodzi Bogdanowa, za nia Anna Kostkowska. Jest to bardzo mloda dziewczyna lat moze osiemnastu, niesztykanie wiotka. Elegancka jej zabona suknie zabywa wielka, narna pelenna z kaptonem, ktoreg podnas rozmowy z Bogdanowa, wjeinuje i ra ruca na porze kresta)

Anna (tryumfujaco do Bogdanowej) Niema nikogo, co, niema nikogo! Okropnie nierozumie konspiracycie.

Bogdanowa. Macie bujna wyobrazenie. Dwoih niezomych robotnikow przyslo do mnie, to juz zaraz konspirujecie.

Anna: Rozumiem, jestem tutaj cotka dyrektora generalnego. Bogdanowe, czy wam nie wstyd wobec panow.

Bogdanowa: Co za upór! Precież bardzo dobre wiecie, że nie wystarczy zawsze mówić, chociaż ja osobiście ufam wam.

1. Mern: I my również ufamy pani. Przedstawcie nas, towarzysko.

Anna (bierze kołce sukni w packe i dygając głębiej) Jestem Anna, córka Jana, Kostkiewska. A co do waszych chwilowych narewisk, panowie, to nie jestem ciekawa. Będzie strój?

1. Mern: Tajemnica zawodowa. Ale pytam na pytanie. Jak otóż je państwo tu zabawia?

Anna: Zależy to od mego gnia, a potem od panów.

1. Mern: W takim razie postaramy się, żeby jak najdłużej.

Anna (przekraczając głowę, z uśmieszkiem westchnieniem) O Panie!

1. Mern: Pani!

Bogdanowa: Precież oni flirtują z sobą, stowo dzie!

2. Mern (przyglądając się Annie) Bardzo mi pani przypomina jednego z naszych petersburskich towarzyszy.

Anna (bez tekstu prawie): Miał bliźnię na policzku, włoży ciemniejsze od nich, z umiłowaniem cywilnych.

2. Mern: Tak.

Anna: To mój brat.

2. Mern: Bardzo go lubię. Słuchajcie jest kraj?

Anna (krywiąc usta): Nie wiem, nie wiem, nie wiem... Nigdzie.

Bogdanowa: Jaki?

Anna: Nie żyje! W Łodzi podnoszą walk ulicznych. Nie był w uniformie... nie mieliśmy ciała nawet. (Dwie trzy spytują po jej twarzy)

2. Mern (pokornie): Przepraszam panis.

1. Mern: Niekoniecznie martwych, nam żywym zmusza roztępa.

Anna: Mówić się, żeby więcej matek swoich dzieci płakato.

1. Mern: Z tem się kłócić nie można. Każda rewolucja wymaga krwi i ofiar

Anna: Byłabym tym bojownikiem za wolność, bo nienawidzę knur, nienawidzę cierpień ludzkich, bo żal mi każdego, kto umiera w kuracie więzienia, bo cierpię za występki i za występko... Bo dzień i noc myślę o krywdach, doznanym przez innych.

1. Kieru: Taka platoniana miłość bliźniego nie prowadzi do niczego... Liniato naprost. Pani życia ludzkiego żal, a rząd sprawdzi moje życie ludzkie? Kto krywdził więcej, my czy oni? Czy nie stojemy w obronie miejscowych i wyrzyskwanym?

2. Kieru: Czy nie karzemy niedziwków, którzy uieniężają i mordują ludzi?

Anna: Kieru ci ludzie we własnym sumieniu znajdują swoją karę.

2. Kieru: We własnym sumieniu! Czy te stworzenia mają sumienie albo jakiegokolwiek inne uczucia ludzkie. Także, bijemy barkiej do ludzi są podobne, jak oni. Niema kar dość wielkiej na nich. Co znaczy bomba lub kula rewolwerowa, a choiby rubienica wobec tyłu zbrodni, co oni z Rosją zrobili! Nawet gdyby ich spalono, nawet gdyby ich na pal wbito, żeby dzień cały konali, jako żywe ostrzeżenie dla występnych tyranów świata... I toby mało było! Jakże żałuję, że bajka jest ogień piekielny. Przysięgam, że wyniektym się zbawienia duszy własnej; by mógł przez całą wieczność napawać się ich mekami.

1. Kieru: Kieru się pani nie boi. Straszny tylko, występko gość.

Anna: Ani na chwilkę nie wstępam o tem.

1. Kieru (do 2. Kieru): Panna Kostnewska zna się na ludziach, odrazu cię przejrzała.

2. Kieru (chmurząc): Chciałbym pomówić z panem Kostnewskim. Czy rektie pani ustatwić mi...

Anna: Z całego serca... Dzikuję panu. Jakżebym się cieszyła, gdyby przez mnie došlo jakiegoś porozumienia do skutku. Prawda, że się może uda strejk zażegnać.

2. Kern: Móre.

Anna: Boję się tego strajku! Ci Kozacy! Jemu komu bawudę zrobić.

1. Kern: To czemu ojciec pani Kozaków sprowadził.

Anna: Ziemiaki sam przysłał, mówił pan v. Landen. Nie można było się ich pozbyć, ale skoro tylko robotnicy się uspokoją (z wyjątkiem) słanego, słanego ten robotnik uderzył w głowę monterów.

1. Kern: Sam nie wiem. Przez przypadek, jak niekiedy w fabryce. Ludzie są jemu mniej obliczalni niż maszyny.

Anna: Mnie go bardzo żal. Gdyby to był naprawdę przynajmniej ktoś odpowiedzialny.

1. Kern: Naprawdę? (waha się) pan v. Landen.

2. Kern (rywając się, z gniewem) Miler!

Anna (rumieniąc się, do 2. Nieznajomego) O, co pan mówi!

2. Kern (trochę zmieszany): Wyc jak to będzie? Kiedy ma mój towarzysze przyjść do pana Kostkewskiego. Bez interwencji pani go nie przyjmę. Idź robotnik do dyrektora generalnego!

Anna (do 1. Kern) Kiedy pan przyjdzie o śniegu do państwa v. Landen, albo do biura o śniegu. Bardzo dziękuję. Jestem pewna, że podsunie się pan z moim ojcem... On tylko wbił da robotników.

2. Kern: Wem, wiem, w Swobodzie są kapi od filantropji, sklepy spożywcze, szpital, szkoła, ogrody, ochronki, orkiestra. Wcale się do robotnika obrać nie można, tak mu dobrze. Bogu dzięki! przez chciwość i zawiść zawsze się jemu co da zrobić.

Anna: Tak nawet zastować niewolno.

Bogdanowa: Dajcie jej spokój, Kostkewska wrzaje tylko szlachetne uczucia. Sentymentalna nadwyczerpane! Uważa, że nawet policjantów i Kozaków zabijać nie należy.

Anna: To są ludzie i w dodatku ludzie bardzo nieczłowiecy. Dopiero dziś mówią z jednym z nich.

2. Marian: I data mu pani pieniądze.

Anna: Skąd pan wie?

2. Marian: Nie tak trudno zgadnąć.

(Stychaj Gwardawę fabrykę)

Anna: Mógł pójść do domu, czas na obiad. Kiedy pan przyjdzie o śnie-  
ciej, czy o siostry?

2. Marian: Nie przyjdę wcale, rozmyśliłem się.

Anna (rozczarowana) O!

1. Marian: Niech pani w każdym razie uprzedzi ojca. Jeden z nas przy-  
jdzie z pewnością, albo wreszcie kto inny. Nie wiemy jeszcze kiedy.  
Gdyby pani zechciała się z nami porozumieć, to tutaj pani zawsze  
kogo zastanie, w najgorszym razie Bogdanowicz.

Anna: To dobre. Mnie tak bardzo zależy na tym, żeby wszystko się  
spokojnie skończyło.

(Zanurca pełenym i nasuwa kaptur na głową)

1. Marian (śpiewa dużo deprella z III ego aktu, "Don Juan'a") Si, si  
signori mascheri.

(Anna podchwytuje melodję, przechodzi w memeta, dyga głęboko  
i wychodzi, za nią, Bogdanowicz.)

1. Marian: Co to znaczy? Wedługem, że na ciebie liczyć nie można, ale po ta-  
kich zapewnieniach! Powiesz na to, że bym stracił tyle czasu. Wtedy ty się  
włóczysz... Gdyby nie ty, już dawno miałbym wykonawcę, a teraz... Uważaj-  
też się przeszkadzać nam w robocie, czy co... Najgorzy wrog tylko niechodź  
nie mów, co taki przyjaciel. Ale my i z takimi przyjaciółmi potrzebujemy  
sobie dać rady.

2. Marian: Nie cofam się, tylko se wygłupię na tę matę. Pomyśl...

1. Marian: Ty, oentymentalna historyczko! Naprawdę kwi się brydzi, powinnyś  
się sprawić przykrość pamięci, włóczysz... Stoisz sobie. Co jeszcze nowego

17  
wymyślił? Z tej kancelnicy przeszkadza rybek u spódnicy. Ale masz  
wybór: ty albo jeden z robotników. Panna Anna i Koszkowski nie  
nie wystają na ramianie. Więc kto pójdzie?

2. Marn: Ja, kiedy tak być musi.

1. Marn: Żebyś był pewny, ale z tobą... o której?

2. Marn: O Ance, to krócej czekać. Jesteś radośny ze mnie?

1. Marn: Zobaczymy... No bez tremy. Nie bądź tak wstydliwy. Przy-  
sięgam, że ci to przyjdzie po występie. Wązy do góry, aturika, świat  
się jeszcze nie kończy.

Koniec aktu I

## Akt II

Biurowo fabryczne. Duży, widny pokój o dwóch oknach. Między oknami wisi portret Mikołaja II, w kwiecie szona. W głąbi i z prawej strony ściany drzwi. Na stole przy oknie wielka mapa Azji wschodniej. Umiebowanie składa się z jednej wielkiej rafy, biurka [w głąbi] i kilku krzesel. Przed mapą stoją Łopuchin i Swanow. Krawcow chodzi po pokoju, raziłkając piście.]

Krawcow: Taki pokój, taki hanbiący pokój! Całą noc spać nie mogłem, myśląc o nim.

Łopuchin: Co do mnie, byłem przygotowany na wszystko, kiedy dowiedziałem się, że to Witte wyjeżdża do Ameryki. Cudownie! Co jego Rosja i jej honor obchodzi. Dali mu Żydzi amerykańscy Tapirovske, to się zgodził na wszystko.

Swanow: Nie śmiały wsiść!

Łopuchin: Nie śmiały, a to ciekawe! Jemuś nie widział takiego, komuś brakło śmiałości wsiść, kiedy mu dają.

Swanow: Wzielibyście, co? Jakby się Landen dowiedział? A on, Tyj Djabel, ostre ma oczy. Wylecielibyście na Teb na ryj.

Łopuchin: [mrużąc oczy] 'E! i na niego sposób się znajdzie. Nie wrogie

nos swój wścibi.

Lwanow: Teraz, to się tylko przechwalać.

Krawcow: Gdybym był cesarzem, nigdybym takiego pokoju nie podpisał, nigdy... do ostatniej kropli krwi, do ostatniej kosuli wojnębym prowadził. Cała armija rwata się do boju, a tu nagle przez tych portych rewolucjonistów, przez tych obywateliwoch szkodliwych, którzy nie mają odwagi śmiało stanąć wrogowi, pokój! Żona od wiszącej ptace i ptace, wcale się uspokoić nie może. Ale nigdy nie będzie dobrze w Rosji, póki te przebrzydłe wony będą nadzite. Pouczaj Niemców, do kategorii ich zętać.

Lopuchin: Czy tylko jednych Niemców z Niemcami, ze Żydzi są gorsi i Polacy i Finlandczycy.

Krawcow: Tak, tak, wszyscy cudzoziemcy. Czego tu taś z Wszystko zte w Rosji, tylko rubel rosyjski dobry. Tyranie to należy, żeby tutaj na ziemi rosyjskiej prawie wszyscy wyjeździ ungdruicy fabryczni byli cudzoziemcami.

Lwanow: No wy, Lopuchin, Ponomerow.

Krawcow: Ponomerow jest gorszy od cudzoziemca, to socjalista. A co do mnie i Lopuchina? Od pięciu lat nam penzi nie podurzi rajs, chociaż każdy bezstronny świadek musi przysnać <sup>musi</sup> że to my właściwie prowadzimy fabrykę. Genere i podczas ostatniego strajku... Gdyby Landen nie był przyjęt i usłupit robotnikom, zupełnie inaczej sprawaby się zakonczyta. Sprawaditbym już wtedy Kozaków, przesepaliby totów ponądnie... Ale Landen za gwałt odwagi niema.

[Od kilku minut w otwartych drzwiach w głąbi stoi Kosknewski i Junge się od śmiechu, przystubuje się rozmowie.]

Lopuchin: Jestem ciekaw, na co robotnikom osmiogodzinny dzień roboty... Może tylko więcej czasu do bójek i pijaństwa.

[Dwaj na prawo otwierają się z Krasikiem, wbiega v. Landen]

v. Landen: Swanow, od godziny rękami was w fabryce, niekoniecznie na podwórku mieszkanym, każda chwila pan Kostrewski nadzieje się że

Swanow: Mówiliśmy trochę o polityce.

v. Landen: Jeśli panowie chcą politykować w godzinach pracy, to radziłbym przejść na sturbę rządową. U nas trzeba pracować. Lopuchin, listy napisane?

Lopuchin: Jeszcze nie.

v. Landen: Dobre, mi je przynieść za godzinę, wrytynie muszą odejść do siebie.

Kostrewski (wychodząc): Dzień dobry panom.

[Krawcow, Lopuchin, Swanow, Kłaniają się i wychodzą]

Kostrewski (do Landena): Trochę za ostro!

v. Landen: Ciężkimi mi nie staje... Żeby to było w takiej warnej chwili, kiedy każda minuta może strajk wybuchnąć, gadano o głupostwach zamiast pilnować roboty! Nie mówię już o tem, że w zwykłych czasach pół dnia uchodźcie na mieleniu żyrkiem.

Kostrewski: Nie rozumiem cię, Landen. Na twoim miejscu nie podniosłbym głosu nawet, tylko najspokojniej i najgłośniejszej w świecie wypunktować całe towarzystwo z fabryki. Nieżytki kompletne

v. Landen: No nierupetnie! Swanow jest nawet bander, bander na miejscu, jako gospodarz fabryczny.

Kostrewski: Ale Krawcowa mógłbyś wypunktować od świętej pamięci

patniei spokojnie nie mogę na tego medytować.

v. Landen: Nie mogę go wyrzucić, ma osmioro dzieci i żadnego majątku.

Kortnewski: Takie powód! Fabryka nie jest zakładem dobrym. Co miż jego osmioro dzieci obchodzi. Czy przyniemy się chci do jednego z nich.

v. Landen [śmiejąc się]: Bardzo wiesz, że nie [śmieje się] Krawcowa.

Kortnewski: Jestem ciekaw, kto mu kazał ranić rękami świat swoim potonstwem.

v. Landen: Krawcowa nie pniehadra w fabryce, nie mam żadnego powodu go odpaści.

Kortnewski: Owszem pniehadra, bo zajmuje miejsce Dzielniejszemu. Zrentę, kiedy uciek był na urlopie i Krawcowa niły to prowadził fabrykę... Zlituj się, pnieci musiałem co miesiąc przyjeżdżać do Petersburga i poprawiać głupstwa, które nerobit. A ostatni strajk z. Sam wywołat głupiem zachowaniem się. A teraz? Gdybyś miał podobnego wicedyrektora mógłbyś zaraz objąć moje stanowisko.

v. Landen: Wżc stanowisko ustępujesz?

Kortnewski: Zwartem się ke... ke, sit nie mam, co miesiąc prawie atak sercowy. I nimie się jakit. Twój spokój należy.

Landen: Zamudrisz się bez zajcia. Pnieci wcale nie można mi nie wbić.

Kortnewski: Myślisz? To nie tak trudno. Zżę mi się, że byłym kapitalnym rentierem... Stowo dżę! Pojechathym na rok do Hiszpanji. Co oni tam mają za obrazy! Rok, dwóch laty nie starzyto! Jeden Velasquez w Museum madryckim, to nie bagatka... A pói niej Hollandja... Prawda, uctie to mi interesuje... Stulathym dobrej muzyki.

Zresztą będą kolekcjonować, zbierać np. pudełka od zapatek (po chwiei, banda ungarow) dla czego mam prawo, dla kogo mam prawo... teraz.

v. Landen: Ciężkimi, ciężkimi, czas wszystko ulewy!

Kostnewski: Z każdym dniem, z każdym godziną mi gony, należy z testu-  
sy. Na jedną chwilę go zobaczyć, na jedną jedyną chwilę, głośno jego  
ustypnie, + J. dotknąć się jego miękkich ciemnych włosów... Nigdy  
więcej... I ona, ta żona moja, która śmie mi mówić o nim, że  
chamka, którą ja w namiętności swojej posubiłem, bo była matką  
meego syna... Spadek, że, że, i jego niema, ona została.

v. Landen: A panna Anna?

Kostnewski: (~~niechętnie~~): Cóż ten list od Sankra. Pokaz go  
[Landen wyjmując z pugilaresu list i podaje go Kostnewskiemu. Ten czyta]

v. Landen: Prawda, że pisme zabawne z „Jestem niewolnikiem brzozy  
bawetmanej”? Nie dziw się zresztą, że do nas przejść nie chce.  
Tam ma do wyboru dyk towarzystwo, ile mu się podoba. A u nas  
jest zwyczajny, wobec tego, że mamy monopol.

Kostnewski: Już go nie mamy.

v. Landen: No ta jedna obca fabryka w Rosji, to się nie liczy, cho-  
ciaż <sup>to</sup> ~~to~~ prawda, pod Szwedzka przez nią stoi

Kostnewski: Musna ją było zgnieść, jak munda, ale nasi akcyonarzynie  
wola syndykaty tworzyć niż walczyć. Ale mniejsza o to. Czy wiesz, co  
te kramarskie durne zrobiły? Sprzedały plany do Włoch i Japonii.  
Włoszom ci francuzi ręce im się trzęsą na widok każdego sou. I  
ambicje ich! Szły ambicji zostać merem <sup>u</sup> swojej usi i nosić <sup>wony</sup> ~~ceremonie~~  
gatunek w butonierce. Uważasz, mieć monopol, mieć dyktować ceny  
na rynku wszechświatowym i sprzedawać wszystko za gotówkę. Jed, lek...

v. Landen: No a co będzie z dyrektorem? Trzeba nam dwóch, kiedy odejdzie  
 jeden stanowisko, jednego tutaj drugiego do Popowki.

Kostnewski (patnąc na zegarek): Ah! nie warto się brać do planów  
 wodociągu, kiedy ci panowie zaraz nadejdą. Karateś Krawcowowi  
 przysłał listy.

v. Landen: Tak, naturalnie!

Kostnewski: Właściwie jestem zadowolony, że Günter odmawia. Skony  
 wstydności lat... Nie, nie zrobimy po amerykańsku, weźmiemy  
 młodego dzielnego chłopca... Niech się zdiera, niech duszę dołoży  
 do fabrykacji ~~...~~, jak powiedziała ironicznie swoja żona. Tak, jak  
 do wszystkiego potrzeba żywej duszy ludzkiej [Wskazując przez okno] Sama  
 skwi już w tych murach.

v. Landen: Tenne się wuj na vitach... A co do tegoż inżyniera

No nehmen und nicht stehen? Może kogoś z fabryk ugraniczonych?

Kostnewski: Dość prób tego wdrażu. Żeby mi uciekł w przeddzień  
 strajku, jak Bisier, lub kłócił się po pijanemu, jak Went-  
 worth. Nie mój drugi, tylko wszyscy poddany.

v. Landen: Trudno będzie.

Kostnewski: Komu to mówisz. Dawno wiem, że w Rosji tak się o  
 bohatera niż o porządnego szefa fabrycznego, a wó dopiero dyrektor!  
 Od kiedy były Ponomarew.

v. Landen: Nie chce zostać. Robotnicy zgadli, żeby oddać inżynierów  
 i majstrów, którzy pracowali ~~...~~ podczas strajku. Więc  
 obrażony.

Kostnewski: A propos inżynierów. Jakos spominają się panowie.  
 Już 4 1/2.

v. Landen: Nie waznie, po w chcen mowic z nimi, kiedy jeste  
wdecydowany zamknac fabryke w razie strajku. Zreszta ja zawsze  
obrywam nie bez ich rady

Kortnewski: ile robisz. Niech im sie zdaje, ze wplywaja na twoja  
decyzje. Robi to dobre wrazenie, a nie nie kosztuje.

v. Landen: Nie optau sie tylko czasu marnowac na takiej drobnostki...  
(po chwili): Ponomasowa zkoda.

Kortnewski: Wielka zkoda nawet. Dlanego tamat strajk? Jako zwyci-  
lista...

v. Landen: Zarzylt mi w listie, ze strajku nie bedzie, bo uske pitem  
czesciowo wobotnikom. Poiniej byl, mielibymy obstechni, zreszta nie  
znam motywow dokladnie.

Kortnewski: Nie przyjezilimy jenne jego dzyniszi, more zostanie,  
postaram sie naklonic go do zostania [Pukanie] A otwó i oni.  
nawenie. Prosz.

[Wchodzi Ponomasow, Wentworth, Landau Kropusniki. Kortnewski  
wstaje, podaje rke, witaja sie]

Kortnewski (siadaja): Prosz wiec panowie siadaja [wzyscy siadaja] A pan Krow-  
cow?

v. Landen: Obiecal przyjść. Mowimy zarzci i bez niego.

Kortnewski: Tembardziej, ze nie mam powodu mu byc bandro w driz unis,  
a ja wlasnie w imieniu zarzdu chce podziakowac panom za dzielne  
spetnienie ich obowiazku. Towarzystwo jest panom durno winne nie-  
tylko bezposrednio, ale i posrednio, gdzie przyklad wasz wplynie nie-  
zawodnie na wobotnikow i innych usgdnikow i zacheci ich do gorlowszej  
pracy. Wiecie panowie zapewne, ze wobotnicy zgadzaja usuniecie ich z fabryki

Oczywiście że rządzeniu temu radość się <sup>nie</sup> stanie, gdyby jednak reszta potrzebowała zmian, to przypuszczam że rządzen i panów nie odmówiłby chyba objęcia posady w fabryce naszej Popowce.

Lauden (do Wentwortha): Przygotował się z hen.

Wentworth: Naturalnie, mówi jak książka.

Lauden: Kiepska

Ponomerow: Sam wybierasz, ale ja ani tu ani w Popowce pracować nie mogę. Pan v. Lauden ma moją dymisję.

Kostnewski: Pomówimy później o tem. Czy na razie panów możemy liczyć na wypadek translokacji do Popowki.

Wszyscy: Tak.

Kostnewski: W takim razie przejdziemy do kwestji strajku. Panowie nie-  
daj zapewne, że była chwila wybuchnie u nas bezrobocie dziś, jesto  
może. Co nam według panów wynikać należy?

Wentworth: Rozważajmy żądania robotników, usiłowo je zaspokoić?  
Wąże mi się, że sprowadzenie korbaków było błędem.

v. Lauden: Nie prosilibyśmy pana o uwagi, w do naszego postępowania.

Kostnewski: Wobec tego, że trudno poprawiać ras popełnione błędy, ~~wyższ~~  
nie będziemy tutaj mówić o korbakach. Co do do uwzględnienia nawet  
częściowego żądani robotników, to obawiam się, że jest to zupełnie  
niemożliwem.

Ponomerow: Dlaczego?

[wchodzi Krawcow, stoi chwilę, wreszcie widząc, że nikt  
nie zaprasza, ani wogóle na niego uwagi nie wraca, siada sam  
na wiku kresła]

Kostnewski: Z dwóch powodów: Primo przed kresła miesiącami zrobiliśmy

im dość znaczne ustępstwa. Obecnie niema żadnego <sup>przynajmniej</sup> powodu ekonomicznego do nowych żądań.

Ponomarew: Milionerami nie są.

Kortnewski: Mąjs się lepiej niż gdzieś indziej. A reszta... Można im było dać więcej za pierwszym razem, więcej nawet niż sami żądali. Nie jestem uwolnionikiem zbyt wysokich dywidend, ale ustąpić teraz znaczy narazić się na nieustanne strajki.

Kropiwnicki: Drugi powód?

Kortnewski: Znajdą panowie w <sup>wykazie</sup> liście fabrykacyjnym naszego towarzystwa Koszta produkcji są największe w Rosji, a jakości fabrykatu... [mająca  
rekę i wypinuje listę <sup>wypisy</sup> z bożniej kieszki i rozdaje]

v. Landen [wypinając mu z ręki]: Stawego przedtem nie mówites? Daj!

Kortnewski: Nie możemy więc podnosić jeszcze płacy robotnika.

v. Landen: [Przeoglądając listę]: Naturalnie! Stano fabryki na ostatnim miejscu.

Kortnewski: Niepotrzebnie się pan tak wzmusza, panie v. Landen. Przy mieszankach kiepskim materiale ludzkim i ciągłych kradzieżach, niczego innego spodziewać się nie można było. Cy skrócenie dnia wbożego wpłynęło na koszty produkcji.

v. Landen: Nie wiem <sup>jętym</sup>. Jedno miż tylko pociessa, że w Popowie jest o tyle gócej, niż u nas. Znasz tego Wilié'go z Hoben.

Kortnewski: Tak, kiedy prarowatem w głównym zarządzie, miał <sup>mają</sup> wykupywania patentów, ale Jouner raz mi porządnie zmógł głowę, i obecnie Hoben jest naszą najlepszą fabryką.

v. Landen: Musi być bardzo radośny <sup>(z wynajtem)</sup>. Panowie mówią jeszcze o ustąpieniu robotnikom.

Landaun: A więc powiadacie im, panowie, że temu nie podlegacie i porzekajcie, że wróca do pracy. Nic innego zrobić nie można.

Kortnewski: Owszem, można zamknąć, nie, trzeba zamknąć fabrykę, zrobić paszporty i przyjmować następnie robotników na warunkach z przed pierwszego strajku.

Ponomarew: Pan tego nie zrobi.

Kortnewski: Zrobię to. Muszę bronić interesów powierzonych mi fabryk!

Ponomarew: Pan dobrze wie, że strajk jest natury politycznej!

Kortnewski: Nie, co z tego, nie mię to nie obchodzi.

Landaun [z ironią]: Pan Kortnewski jest zwolennikiem samoderżawia.

Kortnewski: Nie, proszę pana, tylko nie wbi się operacji na zgangrenowanym łupie. Ofiary na obalenie samoderżawia! Po co, kiedy rząd konstytucyjny nie wpłynie absolutnie na zmniejszenie się nadużyć urzędników i nędzy kraju.

Landaun [ironicznie]: Inicjate stwierdzenie!

Krawcow [wzruszenie]: Albo ziemcy nie kradną! To najwięksi podlegcy pod stonem. Jedno samoderżawie, jako przywrócone...

Kortnewski [jednocześnie, odpowiadając Landaunowi]: Oparto na obserwacji. W konstytucyjnej Hiszpanji kradną nie mniej dotkliwie i wprawnie, jak w autokratycznej Rosji.

Ponomarew [z gniewem]: Nie pozwalam panu porównywać metody i silnej Rosji z zuryłką, upadającą Hiszpanją.

Kortnewski: Bardzo mi przykro, że muszę obracić uwagę państwa, ale lud hiszpański wpat ni się o wiele żywością, szyn i energiczniejszym od ludu rosyjskiego.

Ponomarew [blednąc]: Naprawdę, nieprawdę.

Kostnewski: Przepraszam pana. Nie znam ludzi w guberniach północnych i centralnych, może tam... Więc jak panowie się zapatrują <sup>na</sup> ~~na~~ mój projekt.

Wentworth: Czy pan się nie obawia jakich represji ze strony robotników.

v. Landen: Nie sprowadziliśmy koczaków tylko dla osoby swojskiej. A najniepokojniejszych wysłaliśmy za pomocą ziemskiego do miejsca zamieszkania.

Kropuwnicki: A gdybyśmy byli przeciwni temu projektowi?

Kostnewski: Niech nam panowie przedstawią argumenty... rozważymy je.

Landen: Ale rozsądne, bo inaczej szkoda czasu. A jeśli idzie o sensywności, to proszę o oszczędzenie nam tyrań na temat nieuczestliwej doli robotników.

Kostnewski: Landen!

Landau: <sup>zupewnie</sup> Liberalne samoderżawie, Duma Putyginowska. Daj się ludności gadać, a później rób się według własnego uznania.

Kostnewski: Bogu dzięki! w fabrykach jeszcze niema konstytucji, inaczej trzeba by zwinąć interes. A więc postanowiliśmy zamknąć fabrykę....

Landau: Pan postanowił.

Kostnewski: dobre, więc postanowitem zamknąć fabrykę... Nie zabymy panów Sturji.

[Wszyscy wrstają, razynają się żegnać]

Landau [do Wentworth'a]: Szary komediant.

Wentworth: Wiadome mery! Pies jakich mać. Adigra on się piersi!

Landau: Wobz Landena, chociaż to brutalna sztuka, ale ten wółki, gładki kot... Br....

Kostnewski [do Ponomarowa, który chce się żegnać]: Pomówimy jeszcze z sobą,

29  
panie Ponomarow!

[Ponomarow kłania się i zatrzymuje przy swoim knieście]

v. Landen: Żona, które przypominie panom wieczór dzisiejszy.

Kropuwnicki: Nie omienkamy się stawiać. [wychodzi].

Kostnewski: Co to? Ach prawda, ta kolacja. O której?

v. Landen: Mamy dużo czasu przed sobą.

Ponomarow: Mnie, przepraszam pana v. Landen, że dziś wieczorem u niego na kolacji być nie mogę. Jadę jutro rano o piątej, a jeszcze nie jestem zapakowany.

Kostnewski: Tak nagle... Może po rozmowie ze mną zdecyduje się pan zostać u nas.

[Anna wchodzi].

v. Landen: Panna Anna, tu!

Anna: Czy przeszkadam panom?

Kostnewski: Jestem teraz zajęty, Aniu! Przyjdź później.

Anna: Nie mogę sturzej czekać... Już przy obiedzie chciałam mówić z ojcem i nie śmiałam i ile żobitałam, ile i głupio. To tylko na chwilkę, papo, trzy słowa. Ten pan powieka, nieprawda?

Ponomarow: Nie, proszę pani, ja również czekać nie mogę, mam jeszcze dużo dziś do załatwienia.

Anna: [hnywiąc usta]: W takim razie, w takim razie...

Kostnewski: Hei, Aniu, biuro jest do załatwiania spraw fabrycznych.

Anna: Kiedy to jest sprawa fabryczna, bardzo, bardzo ważna sprawa.

Kostnewski: No to powieka, aż zbiorę z panem Ponomarowem.

Anna [patząc się na Ponomarowa, nieśmiało]: Czy mogę zostać?

Ponomarow: Pani mi nie przeszkadza.

Anna: Pójź do okna z panem v. Lunden. Napewno, napewno nie będę  
nie styssata... Niech się pan nie gniewa. Na dwore denn pada, a na  
korytarzu tyle ludzi się kłóci. Przepraszam bardzo.

Ponomarow: O niema za co. [do Kostnewskiego]: Jestem do usług pańskich.  
[Anna podchodzi do okna, za nią v. Lunden, rozmawiają]

Kostnewski: A więc pan nas opuszcza?

Ponomarow: Oczywiście [z naciskiem] Muszę odejść!

Kostnewski: Nie widzę musu. Zależy, nierównie zależy, że pan wdey-  
dwet się nas <sup>zakończy</sup> pozowie. Mielis'amy zamiar w najbliższej przyszłości ofia-  
rować panu posadę Dyrektora.

Ponomarow [śmiejąc się ironicznie]: Pokusa! Dyrektor, toś to spieczę  
swoich robotników.

Kostnewski: A Dyrektor generalny spieczę swoich Dyrektorów. Berusz'pie-  
nia. Ale może raczej pan przedstawić swoje warunki.

Ponomarow: Nie chce, nie chce, nie chce, ani tu, ani w Popowce,  
dożył mam tego wysskkiego.

Kostnewski: Powody?

Ponomarow: by to nie dożył, że robotnicy są dają mego oddalenia.

Kostnewski: A zapomniatem, pan jest socjalistą.

Ponomarow: Nie jestem, nie byłem i nie będę. Myslalem, że tylko  
Krawcow podobne brednie powtóra.

Kostnewski: Dlatego więc pan robotników za niewdzięcznych uważa.

Ponomarow: Oni, niewdzięczni! Iła mnie? [śmiejąc się ironicznie] Nie  
chcę mieć więcej z nimi do czynienia. Dzioś mię przeprasać przysali...  
Inwi im przed nosem zamknętem. Nie chce mówić z nimi...  
Wszystko, co mogłem, dla nich robotem, unytko. Ze wszystkim się skończy.

się, żeby szkoła była dobra, biblioteka bogata, orkiestra dobrana! Był ja  
 wrem zrentę! Nocy nie dosypiałem, do dziś dnia mam długie, kandy gwałt  
 im oddawaniem. Dwa lata temu, kiedy był na urlopie, użyłem się  
 ogrodnictwa, żeby im przy prowadzeniu ogrodników pomagać. Tenże  
 podnas ostatniego strajku... I po tylu latach wspólnej pracy, zszedł  
 mego oddalenia, dlatego że niżej obowiązek spełniłem. Rozumie pan,  
 tylko dlatego. Pod wpływem jednego przybłędy stobirnego, jednego wygi  
 z wypanoną gębą, który im wszystkim w głowie poprowadził!

Kostnewski: A więc jest agitator!

Ponomarow: Ja nic nie powiedziałem.

Kostnewski: Może, ale ja jednak zarządzam tajnej poliji z miasta powia  
 łowego.

Ponomarow: Pan nie zrobi z tego użytku.

[Kostnewski wrusza ramionami]

Ponomarow: Zrentę, więc i tak będzie, zszedł ostrzedz, nim kłopotów  
 nadjedzie.

Kostnewski: Ma pan bezwarunkowo was na to.

Ponomarow: Nigdybym się tego, po panu nie spodziewał... To nie  
 do uwrozenia, to...

Anna: <sup>Papa</sup> ~~Ojciec~~ żartuje tylko. Czy pan naprawdę sądzi, że mój ojciec  
 posle po npiete. Zabawne! Nieprawda, że ojciec się nawet nie obrant,  
 i ja także nie, to zbyt dziecinne. A także prosi przesłannic ojca  
 o rozmowę, więc żadnej niedyskrecji mi było.

Ponomarow: Dziękuję, pani!

Anna: Był ojciec będzie z nim mówić, prosi bardzo i ja także prosi  
 Był jini dziś o Arcieję u państwa v. Landen, ab ojcice natarałnie

go nie przyjął. Zapomniałam uprzedzić, to jest nie zapomniałam, a tak...

Kortnewski: Jak on wygląda?

Anna: Takto?

Kortnewski: No, jak wygląda?

Anna [namyśla się, z uśmiechem]: Prawie, że nie wiem, <sup>co</sup> jak mam powiedzieć, jak robotnik naturalnie

Kortnewski: Nie o to widać. Stary, młody, wysoki, niski?

Anna: Młody? Tak. Wysoki? nie wiem, siedział. Włosy jasne i oczy, widać się, takie.

Kortnewski [do ~~Anna~~ denera]: (to nie on).

v. Landen: Naturalnie, samten bezwarunkowo był robotnikiem

Kortnewski: Dobrze, przyjmij go. Czy jest już za świątami?

Anna: Nie, już biegnę po niego. Do widzenia [wybiega].

Ponomarow: Żegnaj panów, was na mnie.

Kortnewski [ścisnął mu rękę]: Szyby pan zmienił postanowienie, niech mi pan o tem uwiadomi, bo chociaż zasady naszą jest nie przyjmować ~~nie przyjmować~~ po raz drugi urzędników, którzy nas opuścili, w tym wypadku zrobisz wyjątek.

Ponomarow: Nie skorzystam z uprzejmości pana. Do widzenia

v. Landen: Sreśliwej drogi!

[Ponomarow wychodzi]

Kortnewski: A ba, tak czy inaczej mamy płaszcza! Landen miły drogi, wybacz, jeśli cię skubnie będzie, ale nasz musi zostać między nami. Pójdziesz natychmiast do oficera Kozackiego, niech wstawi ludzi pod oknem i w korytarzu. Niech <sup>będzie ostrzeżeni</sup> ~~dejmą ostrzeżeni~~, wchodząc, żeby go nie sploty.

v. Landen: Chcesz go aresztować, ale to niemożliwe.

Kostreuski: A to czemu?

v. Landen: Robotnicy straszą zaufanie

Kostnewski: A to czemu?

V. Landen  
Kostnewski: Robotnicy stracą zaufanie do nas i wogóle... Skończy mi się o uszy, że według centralnego komitetu rewolucyjnego za wydanie Delegata grozi kara śmierci.

Kostnewski: <sup>(wzruszenie)</sup> Komitetu rewolucyjnego, doprawdy! Zrezygnuj przychodzi na własne ryzyko, nie jako delegat.

V. Landen: Nie wiem nic o tem.

Kostnewski: Gdyby jednak był delegatem, w wątpliw, przekonam oficera zaporowej dwudziestopięciuobłowski, że reszta omyłka i wypuścimy go na wolność.

V. Landen: Panna Anna?

Kostnewski: Dziś na swoją dyskreję, to acentowanie było przypadkowym.

V. Landen: W każdym razie będzie miała wymuty sumienia.

Kostnewski: Wymuty sumienia! Nie ma nic przyjemniejszego, jak wymuty sumienia, zabarzone lekkim odzieniem heroizmu, romantyzmu, socjalizmu...

V. Landen: Jesteś ty na pannę Annę.

Kostnewski: Zapewne. Popsuta mi doskonała kombinacja. Ta wola naganiana zwierny nie jest mi przyjemna, a tak się doskonale układa. Jato wyszło, gdyby nie ona.

V. Landen: Jaki?

Kostnewski: Ponomarew był serjo nastroszony, byłby ostrzegł naszego wiktora, a że ci panowie są zwykłe silnie schokiem podrywi. Nie wątpię, że zniknęły prędko, doładnie i zupełnie.

V. Landen: Mógłś mu grozić osobicie.

Kostnewski: Też! Żeby mię zastrelit lub głowę młotkiem rozbić, jak

Haasemii. Nie, mój miły, wolał żeby on wsiadł, niż żeby miś taka przykrość spotkała. A przez Ponomarowa, doskonale. Tu sam Ponomarow nie mógłby być zbyt wyrażonym, ze względu na własne bezpieczeństwo. Mówiłby ogólnie, a toby wystarczyło, nie naraził się miś na nic.

Postugan [wchodzi] Jakiś robotnik chce mówić z panem Dyrektorem.

Kostnewski: Niech poczeka. [Postugan wychodzi] Spier się, Landen, Czekaj, gdyby się wydało, że to nie był przypadek, przed Anis. Weinuen na własną odpowiedzialność... To nie ja zrobiłem, dołbe, przed Anis tylko.

v. Landen. All right! mozesz. bież na mnie.

Kostnewski: Prześlij mi go. Drwonek, gdzie Drwonek?

v. Landen: Na biurku.

Kostnewski: A więc z Pugiem.

[Landen wychodzi]

Kostnewski szuka drwonka na biurku i stawia go przed sobą. Pukanie, chwila milczenia, znowu pukanie]

Kostnewski: Proszę wejść!

[Wchodzi drugi Kiermajony. Jest błądy śmiertelnie, staje koło drzwi]

Kostnewski: [szurwo]: Zdejmuje się napek, wchodzi do pokoju.

[Kiermajony zdejmuje napek, chwile trzyma ją w prawej ręce, po chwili myśle przekłada do lewej.]

Kostnewski: Proszę bliżej, niech pan siada

[Kiermajony postępuje parę kroków naprzód]

Kostnewski [wskazuje najdalej od biurka postawione krzesło]: Tam.

[Kiermajony zatrzymuje się przy wskazanym krześle, ale nie siada]

Kostnewski: Pan chciał mówić ze mną?

[Kiernejomy kiwa głową, że tak]

Kostnewski: O strach idzie, naturalnie. Pogadamy o tej sprawie, chociaż [macha ręką] Wasiuwie kwestja przesądzona. Ale w każdym razie, chętnie wystukam wanie pana. Przez nich pan zamyna. [Kiernejomy milczy] Mam mało czasu, biuro zaraz zamknięte. Niech pan się spieszy.

[Kiernejomy wsuwa rękę do brzonej kieszeni i postępuje krok naprzód]

Kostnewski [zrywając się z miejsca, krzywi]: Głai w miejscu, bo... [wyciąga rękę do drzwi]

[Kiernejomy [jednocześnie, wyjmując rewolwer]: Ja i stąd potrzebuję?

[Głel. Kostnewski pada na knie. W korytarzu hałas i szum nóg. Dwu wyrywają się z zawiasów, kilka Koraków z oficerem na czele wpada do pokoju.

[Kiernejomy [oduraczając się]: Ha pułapka!

[Głel znowu, oficer pada, koracy <sup>wiekszą</sup> zwracają się do popłochu do korytarza. Kiernejomy, cofa się tyłem do okna, trzymając rewolwer wyciony ku drzwiom. Nagle z dwóch stron korytarza wbiegają v. Landen i Korak i nacierają się na Kiernejomego. Ten strzela, chybia, v. Landen i Korak <sup>dopadają go</sup> nacierają się na niego. Landen wyrywa mu rewolwer]

Korak [bijąc go po twarzy i głowie]: Chociaż nie<sup>z</sup> darmo mi panienka pięć rubli dała.

v. Landen: [Odrzucając go] Prez, bydle. [do innych] Zaprowadźcie go do arendu i pilnujcie dobrze. [kilka <sup>drzwi</sup> Koraków bierze Kiernejomego pod ramię i ciągnie ku drzwiom, tenci idzie za nimi]

v. Landen [Do Ponomarowa, który wręcił przed chwilą i zacił to co Kostnewskiego] Żyje?

Ponomarow: Nie wiem, daje się, że nie.

v. Landen [Idąc w stronę najbliższego koczka] Po doktora, durniu!  
[Dochodzi do Kostnewskiego i nachyla się nad nim. Po chwili] Tu żaden  
doktor nie pomoże!

Ponomarow [wskazując jednego oficerów]: Dla tamtego.

[v. Landen z wolna podnosi ciało Kostnewskiego, układa na bok, podkrymuje głowę]

v. Landen [gładząc ręką po rękach, bardzo miękko]: Ponomarow, mój  
drogi, idź do żony mojej. Niech przystąpi Kostnewskie, niech im powie  
ostawienie [przesuwa rękę po rękach]. Nie wuj się na zitał, jestem  
ostawiony, nie mogę.

Koniec aktu II.

Akt III

[Ciasny, ciemny pokój szpitalny, dość czysto utrzymany. Z lewej strony widać leży na łóżku monter Haase, z ~~lewej~~<sup>prawej</sup> strony Fielding, który tego ostatniego siedzi na krześle Postugau w białym kitlu i Imencie. Fielding leży na wznak z zamkniętymi oczyma]

Fielding: [nie otwierając oczu i nie ruszając się wcale].

Simeon [głośniej] Simeon!

Postugau [budząc się]:

Co, proszę pana?

Fielding: Now, wie miło.

Postugau: Felcerka zakazała.

Fielding [otwierając oczy i odgrywając się trochę]: Simeon, Simeon stary.

Postugau: Co nie mam słyszeć, stary.

Fielding: Idź do żony mojej, niech buty moje przełoży. Ile par mi się zostało, tyle lat jeszcze żyć będę.

Postugau: A bo to prawda!

Fielding: Prawda, prawda!

Postugau: Nie pójdziesz, felcerka się gniewać będzie.

Fielding: To nie, kiedy indziej [po chwili] Tak ci się zdaje: Długo jeszcze

poizgnę? Co Doktor żonie powie dział?

Postugan: Co on wie? Wszystko od woli Boskiej.

Fielding: Simeon!

Postugan: Czego pan chce.

Fielding: Życi chce, rozumiesz, życi chce.

Postugan: Wiadome mamy, każdy życi chce. Najednemu już i Anny obstarawiali, a ony jeszcze przyć chwał.

Fielding: Ale ja przecież tak choć nie jestem, nieprawda? To by było niesprawiedliwe, zupełnie niesprawiedliwe, jeżeli teraz umierał miał... Właśnie teraz... Cate żyje, prawda, jak pies, odpo-  
czynek mi się należy, a nie śmierć... Nieprawda?

(Drzwi w głębi się otwierają, wchodzi Kostkewska, za nią Bogdanowa)

Bogdanowa: Oto pan Fielding.

Kostkewska: Cierko choć, razem?

Bogdanowa: Wyjątkowo dziś... Rucano kamieniami w szpital, większość okien wybita... Nie było innej rady. Tu, od podwórka bezpieczniej.

Fielding: Tak, tak mato miś nie zabli. Koto twojotka upadł kamień wielkości jabłka.

Postugan: Za dobre imi jabłom, za dursi Sturcau mają na ze-  
brank, za stołko żyją. Jak się wygotuje, to się uspokoją.

Bogdanowa: Niech panie to nie przesarsa. Robotnicy nesi są ludźmi spokojnymi, tylko względem naszego Doktora... Pani rozumie... Bogdanowa nowego prawa, Doktor jest ogromnie śladny przy przyjmowa-  
nianiu robotników, brakuje za lata drobnotkę.

Fielding: Precież kałek przyjmować nie będzie. On choć jest, Bóg wie, skąd sobie chorobę przytarcał, a ty go później karmić do samej

śmierci, bo pół roku u ciebie pracował.

Bogdanowa: No tak, ale to się robotnikom nie podobało, i usz-  
kili dziś kecy.

Kostkewska [stając w głowach Torka]: Pan się pewno przeżył bandro.

Fielding: Lincen, co to za kobieta?

Postagan: Tak nie można mówić. Sama wielmożna pani Dyrekto-  
rowa przysła.

Fielding [z radością, starając się ją zobaczyć]: Co, pani u Landen? Ra-  
cyta pani....

Kostkewska [prerywając i podchodząc bliżej]: Nie, Kostkewska [z ciekawości]

Fielding [rozczarowany]: A... Dobry wieczór, pani Dyktorowej...

Kostkewska: Dobry wieczór. Jak się pan czuje..

Fielding: Niema się o co pytać. Z góry na dół, na Feb. na syję.  
Czy pan Kostkowski miś także odwiedzi.

Kostkowski: Tak, nie wiem, bandro być może. [zdejmuje sobie sprawę z tego,  
co mówi]: Ale naturalnie, mój pan odwiedzi, mówił o tem nawet  
dziś... czy pan bardzo cierpi? I o żony pana się wybieramy.

Fielding: Bandro państwo na nas taskawi.

Kostkewska: Dława stara przyjaźni. Przy tem ogromnie mi żal pani.

Fielding... czy pan bardzo cierpi.

Fielding: Nie, nie bandro.

Kostkewska [zdumiona]: Ciotwiek tak ciężko chory.

Fielding: [ze złością]: Nie jestem wcale, nie jestem wcale ciężko  
chory.

Kostkewska: Doktor przecież mówił. Pan prawdopodobnie bardzo  
ostabiony.

Fielding: Tak jestem ostabiony... Nie mogę mówić, będę nieuprzejmy, poproszę, żeby pani wizytę swoją odstąpiła. [Widzę, że Kostnewska nie ma się z miejsca, z westchnieniem]. Co panna Anna poradziła? Kostnewska: Nic dziwnego, że pan ostabiony... Naturalnie, pan robi sobie iluzję co do swego stanu.

Fielding: Linceon, czego ona chce odemnie.

Podgajana: Zaraz: ona. Nieładnie. Pyta wielmożna pani Dyrektorowa.

Fielding: Wielmożna pani Dyrektorowa [śmieje się, do Kostnewskiej]. Pamiętasz Jozim, jakiego u Crayerów sturysta? Przyjęła moja żona. Pyta jej wyścitas, a metom ci ztobówek w tase wsuwał, kiedy mi palto podawata.

Kostnewska [z gniewem]: Miko!

Fielding [śmieje się ze złości]: Wielmożna pani Dyrektorowa... Bo się Kostnewski ztapac dat... Nadt by parkem się swoim elito wat... Stupi, głupi, głupi... Z kanką się zenie... Nie on jeden był i dziecko niewiadowso wyje.

Kostnewska: Ktaniess, psie!

Bogdanowa: Tak nie można, proszę pani, do konych rozdzierania.

Kostnewska: Naturalnie, pani tu ma więcej do powiedzenia niż ja, naturalnie, mogę odejść, jeśli pani sobie tego życzy.

Bogdanowa: Ale ja pani Dyrektorowej obrazić nie chciałam, tylko pan Fielding już drugą noc nie spał i wogóle.

Kostnewska: Już odchodzę, już odchodzę.

[Wstaje i wolna kienije się do drzwi. Nagle monter zajmuje ją, Kostnewska zatrzymuje się chwilę, potem ucieka, jakby niewidzialna ręka popychana do Turka. Staje oparta o wysoką poręcz, kwang, zwrócona

ku wiotowni, i patry na <sup>chorego</sup> na widowni]

Kostkewska [szepcem] Kto to?

Bogdanowa: Monter Hase... Ten, którego robotnik młotem uderzył.  
Pani stygnęła pewno. Nieprzytomny.

Kostkewska: Języ.

Fielding [do postugara, szepcem] Posita?

Postugar: Tak.

Bogdanowa: Pani wybacz, mure pójdziemy obejrzeć salę operacyjną.

Kostkewska: Nie [wskazując na Hase'go] Umroł?

Bogdanowa: Mała nadzieja utrzymania go przy życiu.

Anna (wbiega): Lubię was wnetrze... Gdzie wasi towarzysze, powiedzcie  
premier, że ich tu... [spotykając Kostkewską] Mamo znowu!

Kostkewska: Cicho!

Anna (chwytając ją za ramie): Niech Mama wyjdzie stąd, niech Mama  
wyjdzie stąd.

Bogdanowa: Nie tak głośno!

Kostkewska: Jak śmiesz! matkę swoją jestem... Nie śmiej mówić  
tak do mnie, puść mnie, stygnij!

Anna (błagalnie): Mamo droga, chodźmy stąd. Dla mnie, dla Janka... Taki  
wstyd, taka hańba... Jakże smutna.

Kostkewska (błagalnie <sup>z łobosizją</sup>): Mamo droga Języ!

Anna (mówi z trudem): Chodźmy stąd, ja tego stuknąć nie mogę.

Kostkewska: Jaka hańba! Wyc co? Patrz się na nich... Niech wam,  
że i inni cierpią [Hase języ znowu] Stygnij... Dziej mi od tego na  
sercu, nie mnie jedną Pan Bóg skarał... I za co, za co, Matko  
Przenajświętsza!

Anna: Chci' przed ludzmi... Tu nas wszyscy znają [Kostnewska uśmiecha się] Niech się ~~stema~~ nie uśmiecha, bo ja mamę, bo ja mamę w twarz uderzę... ja

Kostnewska: Uder, uder, dawno wiem, jak by matkę spaniesz... córka od psa gorsza.

Anna: Chcielibym chciała to nie mogę, chcielibym chciała, to nie mogę Wszystkim ludziom zarzucić, że takiej matki nie mają.

Kostnewska: Matej v. Landen <sup>matki</sup> (zarzucić... znam cię, widziałam, jak ją w ręce catowałaś [przedreżnia]: Pani Glibicko, Pani Glibicko.

Anna: Mogę mówić do kogo mi się podoba.

Kostnewska: Poniewieraj mnie, poniewieraj. Mnie, kanta lepsza... Naprawdę mąż, później córka... Wszystko mi zabrala.

Anna: Jeśli Mama jest zarzuciła o panią v. Landen.

Kostnewska: On z nią o Janku mówi, rozumiesz, on z nią, a mnie miluć kare... Matce wdłonej o dziecku mówić nie daje, a z obcy. O rany Pańskie! Jakże ja to zmieść mogę.

Anna [nachyla się nad nią, nisko]: Także Mama wie

Kostnewska: Tystratam, pod Dwianii statam.

Anna [z gniewem]: Podstuchiwata Mama.

Kostnewska: A pewno! Muszę pilnować. Żelym ich była na jednem łóżku zobaczyła, mniejszy mię serce bolato. [Anna ignęta] Wein, wein po nowomodnemu, po pańsku, tylko ja w ręce catuję, przyjaciółka! A ślepią mu się bitym.

Anna: Przysnęła mama sama, że niema powodu do zarzuci.

Kostnewska: Niechby ja miał, kiedy taka jego wola, niechby ja miał, a niech z nią o Janku nie mówi, bo ja im jeszcze kiedy

mysiej truciizny do jedzenia nasypisz...

Anna (stanowca): Pójdziemy stąd, natychmiast [ciągnie Kostnewską  
za ramię, do Bogdanowej]: Pomóście mi wyprowadzić matkę, to atak  
histeryjny.

[Wbiega pani v. Landen]

Pani v. Landen: [bardzo blada]: Przyjechałam powozem po panię.

Anna: Drżkujsz pani

Bogdanowa: Pani Kostnewskiej trzeba pomóc... Sama nie wyjdzie.  
Mnie postęgan...

Anna: Nie, nie...

Pani v. Landen: Panno Anno, musimy jechać natychmiast, na-  
tychmiast. Mierci nadchodzi, dręgi niepewne... Mąż stangret dobre  
pociemku nie widzi... Pani rusz się, natychmiast musimy jechać  
Konie czekaj.

Anna [nagle przerażona]: Co się stało?

Pani v. Landen: Nie, nie, zupełnie spokojnie... Niech się pani nie  
obawia [do Kostnewskiej] Uderzmy, prędo pani.

Kostnewska [nie odwarcając głowy]: Nie, zostaję

[Od tej chwili + aż do końca aktu Aniego Kostnewska stoi nieruch-  
oma, uśmiechnięta i niecała na wszystko, co się dzieje wokoło  
niej. Tak nie spanna onów z twarzy montera, napawając się  
widokiem jego cierpienia]

Pani v. Landen: Jakto? (do Anny) Długoż Mama nie chce jechać...

Anna [wskazując na Torko]: To ją ratujemy, tak to... Konajsz y, chory,  
cięty się z ich widoku. Nie pierwszy raz, i w Petersburgu do-  
bita. Litajsz y z szpitala wyprowadzili, ja i ojciec... Ogidyby nie gnie

wybyły z niej wyrywać mogła, z tą...

Pani v. Landen [kładąc jej rękę na ustach] Cicho, ani słowa. [z wyrzutem]

Panno Anno, na matkę, przed obcą!

Anno: [Łatując jej rękę] Nie jest pani obcą dla mnie nie, nie nikogo w życiu tak nie kochałam, nawet ojca, nawet Janka...

Niech pani mi rękę nie wyrywa, bo to prawda. Pani v. Landen, pani v. Landen, pani [z niewymowną autentycznością] Głęboko.

Pani v. Landen: Musimy stąd Mamanę wyprowadzić koniecznie. Prędzej, prędzej... Panno Anno, czy niema żadnej rady.

Anno: ~~Trzeba~~ <sup>Niech</sup> ~~po~~ ~~ojca~~ ~~przyjść~~, ona się ojca boi, <sup>odejście</sup> ~~pojdzie~~.

Pani v. Landen: Ojciec jest zmęczony, zajęty... nie wiem, może pani spróbuje... O mój Boże! [nagle rauczyna płatać, łatując

Anno] Panno Anno, panno Anno, ja nie mogę pani tu przygotować... Ale w domu, w moim pokoju... Panu nie, może tu zostać? Tużej, każdej chwili tu będę. [do Bogdanowej]:

Stygnij pani karki na schodach.

Bogdanowa: Nie na schodach, przed gankiem.

Pani v. Landen: Niech pani zejdzie i ich weźmie... Niech uciekają, przecież na górę teraz wejść nie można, pani pojmuje... Niech potarg na dole... głowę trzęs... Ale niech pani idzie, prędzej, prędzej.

Bogdanowa: Nie wkurwam.

Pani v. Landen: O śmierci i życiu idzie, niech <sup>ni</sup> pani idzie spieny [Bogdanowa otwiera drzwi i staje w korytarzu, niepewna, w mawii. Na schodach wleżą się szereg ciężkich karki i książki]:

Orłowi nie, Jąbty. Przecież wszystko, przytór rękę Jegor, na prawo, na prawo... lewej, chony spiesz. Do Jąbta z chorymi... Stój, lewa noga,

wszystcy.

Na scenie milczenie. Pani v. Landen śiska rękę Anny

Anna: Coś niosą na schodach (po chwili) Kogo niosą na schodach?

(Pani v. Landen milczy)

Anna: Mój ojciec nie żyje! Tylko tak nie krzyżeli, gdyby był tylko ranny.

(Pani v. Landen milczy.)

Anna (szepce pani v. Landen): Kto go zabił, kto go zabił i chęć wiedzieć, kto go zabił?

Pani v. Landen: Nie wiem, w biurze, urzędnik, z którym mówił.

Panno Anno, panno Anno ... Aniu!

Anna (usuwając się na kolana i bijąc głową o podłogę): Nie, ja nie smutkę, ja zaraz wstanę i pójdę do domu ... Zaraz, zaraz tylko chwile jeszcze. (Chwyta się za głowę i jęczy, kiwa się w tył i naprzód)

Wstanę, zaraz wstanę, pójdę, pójdę do domu, pani poszła, pójdę do domu, zaraz...

(W otwartych drzwiach ukazują się ludzie, niosący nosze ... Wchodzi v. Landen)

v. Landen (do żony): Powiedziałaś?

Pani v. Landen: Nie mogłam inaczej.

v. Landen: Wody dla pani Kostnewskiej (Bogdanowa nalewa)

Anna: Nie trzeba wody, zaraz wstanę i pójdę do domu, jeszcze chwile tylko zaraz pójdę, pójdę do domu.

v. Landen: Lito przeklęty! Zrabienicy dla niego maty! Konie miłym go rozciąć karat. (wchodzi Ponomarow) A Ponomarow! Pomyśl żonie mojej odprowadzić pani Kostnewskiej do domu.

Ponomarow: Do usług, panie dyrektorze.



v. Landen: Chciałbym je jak najprędzej stąd wyprawić, żonę i dzieci moje też. Jak zamknę fabrykę, to się dopiero tu rozpoznamie.

Bogdanowa podaje Annie wodę

Anna (dzwonią). Pani v. Landen (prędko) dzieci wysłamy. Je zostają.

v. Landen: Dobne, Głęboko!

Anna (dzwoniąc zsbarni o nktó skłanki): Teraz pójdę do domu, jeszcze chwilkę, zaraz wstanie i pójdę do domu ... zaraz, w tej chwili.

Ponomerow: Pan zamyka fabrykę?

v. Landen: Po tem co zostało! O ja im jeszcze pokarzę tym Toboż, nich z głodu zdychają, nich zelazo żrą, jeśli Taska. Pokarzę im różni-  
ce między mną a Kostkewskim. Nich spróbują buncy fabrykę, zoba-  
cymy, kto znieprzy.

Anna Pójdę, pójdę do domu ... Ja nie chcę widzieć mego gnia, zaraz pójdę, tylko wstać muszę, zaraz pójdę.

Koniec

Skanowanie i opracowanie graficzne na CD-ROM :



ul. Krzemowa 1

62-002 Suchy Las

[www.digital-center.pl](http://www.digital-center.pl)

[biuro@digital-center.pl](mailto:biuro@digital-center.pl)

tel./fax (0-61) 665 82 72

tel./fax (0-61) 665 82 82

**Wszelkie prawa producenta i właściciela zastrzeżone.**

**Kopiowanie, wypożyczenie, oraz publiczne odtwarzanie w całości lub we fragmentach zabronione.**

**All rights reserved. Unauthorized copying, reproduction, lending, public performance and broadcasting of the whole or fragments prohibited.**